**GODŁO: LAMPANAFTOWA**

# Ratibor – moja Hellada

**Dedal i Ikar**

– Będzie niezniszczalny, zobaczysz tatko! To symbol nowoczesności – dmuchając w płowy kosmyk moich włosów, zwracam się w kierunku starszego jegomościa.

Tamten jednak zastanawia się głośno:

– Stosując dodatkowe filary podpierające most na całej długości, możemy zwiększyć jego nośność - zastanawia się głośno i naraz dodaje:

– Nasze miasto, nasz Ratibor potrzebuje nowoczesności. Wiesz synku, spędziłem w tym mieście wiele lat. Ratibor moje miasto, moje ukochane miasto – błękitne oczy tatka unoszą się ku górze. – Już jako malec przesiadywałem u progu fabryki czekolady Sobtzick, by potem bawić się na placu Adolfa Polko. No i w środy obowiązkowo robiłem zakupy w Kupieckim Domu Młodzieżowym. Das Kaufmannische Jugednheim przy Gartenstrasse zawsze wywoływał wypieki na mojej twarzy i moich kolegów. A jakie nożyki motylkowe tam sprzedawali! Każdy dryblas o nich marzył. A jednak największe emocje wzbudzał we mnie most Berneta! Potrafiłem stać godzinami na Eichendorffstrasse i z zaciekawieniem się mu przyglądać. Wtedy poprzysiągłem sobie, że będę konstruował mosty. Mosty, które scalą najdalsze ziemie, mosty, których fundamenty przetrwają wieki. Może będzie kiedyś możliwy most pomiędzy Polską a Niemcami?– Pytanie to brzmiało retorycznie. Po chwili ojciec z uśmiechem rzekł:

- Kocham moja małą ojczyznę, mój Ratibor, pomimo iż, wciąż mam nadzieję, że przyjmie kiedyś biało - czerwone barwy.

I tutaj zwrócił się do mnie:

- Nigdy nie zapominaj synku, że pochodzimy od Piasta. Po traktacie wersalskim miałem nadzieję, że ziemie te dostaną się w polskie ręce…Nie wiem jednak, czy będzie to kiedyś możliwe…

Znalem na pamięć rzewne historie o moście dwu-fenigowym, jak nazywaliśmy osławiony Most Bernetta. Dla mnie znaczył on tyle, że za korzystanie z niego trzeba było po prostu zapłacić dwa fenigi. Oczywiście marzyłem, by kiedyś dorównać kwalifikacjom ojca, jednego z najlepszych inżynierów w Europie.

Żeby przerwać monolog tatka o urokach naszego Ratibor, rzucam radośnie:

– Tatko zobacz! - moje błękitne spojrzenie obejmuje z zachwytem silną konstrukcję. - Ten przenośny stalowy most kratownicowy to prawdziwa modularna konstrukcja - cmokam z zadowoleniem. Ojciec odwraca się do mnie i posyła w moim kierunku uśmiech:
– Oj, synku, musisz się jeszcze wiele nauczyć. Przed tobą ostatni rok nauki na politechnice. Ale – klepie mnie po ramieniu – jestem z ciebie dumny! Naprawdę Staszku, wychowałem godnego siebie następcę. Cieszę się, że twe marzenia sięgnęły nieba.
Odchylam głowę do tyłu i śmieję się radośnie:
– Ten most ma zdolność do nasuwania się tylko z jednej strony, czyli podczas pokonywania przeszkody wystarczający jest dostęp tylko do jednego jej brzegu. A to pozwala szybko pokonać bariery wodne – spoglądam z podziwem na zaprojektowaną przez tatka konstrukcję.
– To prawdziwy start do wieczności dla miasta Ratibor – prawi z zachwytem ojciec i gładzi moje włosy:
- Staszku, mój bohaterze, twoja matka byłaby z ciebie dumna. Szkoda, że nie doczekała tego momentu.
Przez chwilę milczymy, zewsząd otacza nas już zapach lata. Upajająca woń konwalii miesza się z zapachem stokrotek, pieszcząc nasze nozdrza. Przez chwilę patrzę niewidzącym wzrokiem przed siebie. Matka… Matula… Obraz jej postaci rozmazuje mi się przed oczyma, przywodząc na myśl tylko delikatny zapach lawendy i czuły dotyk jej dłoni, gładzącej moją kędzierzawą czuprynę. I jej ciepła dłoń ściskająca moją, kiedy przemierzamy nasz ukochany Ratibor. Wtedy wydawało mi się, że cały mój świat zaklęty jest w tym mieście… Tak, świat w jednym mieście…
W pamięci wciąż obecna jest pachnąca lipą promenada odrzańska, wesołe harce na kąpielisku wodnym przy Augustastrasse, niedzielne modlitwy w kaplicy Różańcowej, a potem lody czekoladowe, najlepsze w całym mieście, sprzedawane na Lange Strasse. Mój świat…mój dziecięcy świat zamknięty był w urokach Ratibor.
To tam zbudowałem swoje marzenia. Właściwie zawsze pragnąłem być konstruktorem, jak tatko. Konstruktorem mostów. Takich wspaniałych, jak nasz Schlossbrucke. To tam podchwyciłem spojrzenie, jakim tatko obdarzył matulę. W tamtej chwili, poprzysiągłem sobie, że moje oczy kiedyś też będą wodzić za kimś z miłością. Z otchłani wspomnień wyrywa mnie niski, męski głos:

– Profesorze Rozwadowski! – wraz z tatkiem odwracamy się, a na naszych ustach pojawia się uśmiech na widok pulchnej, krępej postaci:
– A, w samą porę, Heńku!– tatko macha ręką w stronę mężczyzny. – Niech Heniek sprawdzi jeszcze rusztowania. Ten mój młokos – śmieje się do mnie, wskazując na mnie palcem - jest naprawdę dobry, ale przecież wciąż brak mu doświadczenia.
– Ależ panie profesorze– odpowiada mu tamten. - Pan jest prawdziwym asem inżynierii. Ja tam zawsze o pana dokonaniach wspominam. Ależ pan zyskał sławę w ostatniej, wielkiej wojnie. I wtedy pana konstrukcje mostów pozwalały pokonać bariery wodne na froncie zachodnim. A mówią, że i następna wojenka się szykuje. Ja jednak w to nie wierzę. Ten Hitler to przecież baba w spodniach jest. Mówię to, chociaż jestem Niemcem – śmieje się gardłowo, a wkrótce i ja do niego dołączam. Jednak ojciec poważnieje, kiedy prostując się, starannie dobiera słowa:
– Wy tam nie śmiejcie się panowie. Z tymi nazistami, co doszli do władzy, to nigdy nie wiadomo. A po traktacie wersalskim, to i żądni zemsty są. Trzeba zatem nowe mosty budować.
– Ach panie profesorze, pan to by i greckich bogów swoimi konstrukcjami zachwycił i mosty w samej starożytnej Helladzie by pan zbudował - wcina się w zdanie Heniek, jednak ojciec kiwa głową z dezaprobatą:
– E tam Heniek, zawsze trzeba mieć pokorę – i spogląda na mnie przenikliwym wzrokiem.– To się też tyczy ciebie, młokosie. Wiem, że polubiłeś latanie. A PZL P.7 to prawdziwy as przestworzy, wyjątkowo przypadł ci do gustu. Pamiętaj, nie szarżuj tylko! Toś to człowiekiem jesteś. Nie greckim bogiem– ja jednak wkładam pilotkę, ubieram okulary i z impetem wskakuję do maszyny.
- Będzie dobrze tatko! Będzie dobrze!– krzyczę, kreśląc ósemki na nieboskłonie.

**Afrodyta**

Sierpniowe, gorące promienie słońca otulają moje ciało. Ratibor odbija się blaskiem sierpniowego rozżarzonego słońca. Siedzę na małej ławeczce pośród róż i magnolii w sercu parku Eichendorffa. Próbuję zamknąć w kadr w mojej głowie obraz pachnących igliwiem drzew i szumiącej Odry. Moje ciało otula podmuch świeżego wiatru. Odwracam głowę, słysząc dziwne dźwięki. To wiewiórki rozpoczynają swoją żmudną pracę Biorę głęboki oddech, próbując zapamiętać ten widok. Mój Ratibor… Głodny piękna, spoglądałam na poprzecinane zielonymi łąkami wzgórza. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że otaczające mnie tereny stanowią nie tylko ucztę dla moich oczu. Wciągam głęboko powietrze. Takiej

woni zapachu nie doświadczyłem nigdy, chociaż zwiedziłem wraz z tatkiem pół Europy. Stokrotki i krokusy grają symfonię zapachów i barw.

Piękno Ratiboru daje mi poczucie wiatru we włosach. Przez chwilę upajam się scenerią przyrody. Trylem ćwierć nut rozpoczyna swój koncert Odra. Jej fale wybijają ostre wibracje, a w kolejnym takcie wchodził duet pasikonika zielonego i skowronka. Po repetycji zagrywa grupa kumaków nizinnych, po to by ustąpić w następnym takcie solówce orła. Jednak to szum dębów zagłusza wszystkie głosy.

Naraz owo piękno zostaje przyćmione. Spoglądam w stronę fontanny. Wydaje mi się, że ona wyłania się ze spienionych fal. Złociste włosy spadają miękko na alabastrowe ramiona, a błękitne oczy przypominają gwiazdy.

- Czy to ziemska istota? – pytam sam siebie.

– Gdyby pan zobaczył teraz swoją minę, pewnie roześmiałby się – słyszę najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek dane było mi słyszeć. - Proszę pana… Czy pan mnie słyszy? – dalej upajam się tym cudownym głosem niczym melodią morskich nimf.

Ukończyłem z wyróżnieniem politechnikę, bywałem na kongresach inżynierów, konstruowałem mosty, wygłaszałem referaty dla najznamienitszych konstruktorów na świecie, lecz teraz brakowało mi słów.

– Proszę pana…– moja muza śmieje się do mnie, lecz ja nagle odzyskuję dawną charyzmę:

– Stanisław Rozwadowski – wstaję, prostując swą rosłą sylwetkę i ujmując jej miękką dłoń w swoją, a następnie muskam ją ustami. - A panna, to już wiem. Afrodyta, powstała z morskiej piany.

Dziewczyna śmieje się zalotnie, a na jej policzkach pojawiają się miękkie dołeczki:

–Ach, Afrodyta… Zaraz Afrodyta. Pan to chyba wszystkie dziewczęta tak nazywa. Julia Kruger – mówi spokojnie. - Wie pan, tutaj niedaleko Probsteinplatz, sprzedają świetną lemoniadę. Może zaprosiłby mnie pan?

Patrząc na jej piękną twarz, chciałem krzyczeć ze szczęścia, pragnąłem dosiąść mojego PZL P.7 i pędzić aż do nieba. Zresztą moje nogi już odrywają się od ziemi i próbują dotknąć przestworzy. Lemoniadę? Na Probstei Platz? Ja bym tej pięknej istocie, podarował sam nektar greckich bogów. Jednak, odzyskawszy głos odpowiadam pewnie:

- To będzie zaszczyt towarzyszyć pani!

**Hades**

Pierwszego września słońce zgasło, pogrążając mój świat w chaosie. Niebawem kulę ziemską otoczyły mgły i chmury, a do naszego życia nie docierał nawet najsłabszy promień słońca.

Czy pamiętam jeszcze Ratibor, który nie był pogrążony w mrokach? Przed oczyma przesuwają mi się kadry ostatnich lat: biały welon Julii i jej boska, koronkowa suknia, szeleszcząca przy każdym ruchu, kiedy szła do ołtarza w Kościele Johanniskirche, składając mi przysięgę, nasza tonąca w magnoliach willa na Braustrasse, moje złote medale dla najlepszego inżyniera samolotów w Europie, przystrajające salon, jedwabisty głos Julii, wołającej mnie z ogrodu, tupot stópek naszej córeczki Kasieńki, stawiającej pierwsze kroki w przydomowej altance, moje łzy mieszające się z listopadowym deszczem, kiedy żegnam tatka... Lecz to było w innym życiu, przed trzydziestym dziewiątym. Poprawiam nerwowo okulary:

- Jak to dobrze, że ojciec nie dożył tych dni hańby– ganię się za te słowa i spoglądając na krzątającą się w salonie postać, kiwam na nią:

– Marto – wołam w stronę służącej. - Gdzie jest Julia? Gdzie moja żona?

Służąca robi zmieszaną minę. Już domyślam się, co ona oznacza:

- Ach, już wiem– cedzę słowa z dezaprobatą.– Pomaga tym Kirchfeldom, którzy mieszkają na Neue Strasse. Tyle razy jej mówiłem, żeby nie ryzykowała.

- Nie, nie inżynierze Rozwadowski – piskliwym głosem przerywa mi pokojówka. – Pani Julia zabrała Kasieńkę na spacer nad Odrę. Mała tak bardzo chciała poplażować na Eichendorfstrasse.

Wzdycham głęboko i biorą gazetę, kładę nogi na stół:

- Pogrążyliśmy się w ciemności, a Hitler realizuje swój Blitzkrieg. Zmiażdży Polskę jak orzeszek – odwracam się za siebie, słysząc nadchodzące kroki.

– O, Heniek - wołam w stronę przyjaciela. - Cóż cię tu sprowadza?– spoglądam przenikliwie na jego małe oczka. Dostrzegam w nich ogromny strach.

- Co się stało? - zrywam się na równe nogi. – Co się stało? - potrząsam jego ramionami przerażony tym, co zaraz usłyszę.

– Ach panie inżynierze, nieszczęście, wielkie nieszczęście…- Heniek wyciera pot z czoła.– Pppanią Julię i Kasieńkę… Panie inżynierze... Chyba odkryli, że pana antynazistowską działalność. Panie inżynierze, zemścili się… … Zabrali je, zabrali je… Gestapo…Aresztowali je na Eichendorffstrasse.

- Co ty mówisz człowieku? – krzyczę jak opętany. Czuję, że właśnie sięgam dna piekła.

**Orfeusz i Eurydyka**

– Musi znaleźć się jakiś sposób, by je stamtąd wyciągnąć – moje lakierowane mokasyny stukają po parkiecie, kiedy po raz kolejny przechodzę wzdłuż salonu. Nie wiem, ile razy

powtórzyłem już to zdanie. Henryk siedzi przy stole z założonymi rękoma. W końcu niski ton jego głosu wcina się w tupot moich butów:
– Panie inżynierze, przecież pan już niemal zszedł do piekła, żeby je stamtąd wyciągnąć. Ale z obozu nie ma ucieczki. To jest inny świat, wie pan …
Przerywam mu gwałtownie:
– Przepłynę sam Styks, żeby je uratować – wycieram ręką pot z czoła.– Będę się błąkał, szukał, aż w końcu znajdę sposób, żeby je sprowadzić do domu. Wiesz Heniek, w tamtym dniu, kiedy ją utraciłem, to właściwie dla mnie rozpoczęła się wojna. Heniek, rozumiesz… ona jest dla mnie całym światem. Ona i Kasieńka.
Pulchny jegomość patrzy na mnie z politowaniem:
- Obóz to jest piekło, panie inżynierze. Stamtąd nie ma już ucieczki – mój przyjaciel ścisza głos, mówiąc prawie szeptem i spogląda w moje oczy, dostrzegając w nich furię. Teraz moje ręce łapią go za krawat.
– Nie da się wyciągnąć? Nie da się wyciągnąć?– krzyczę. Naraz między nasz dialog, wcina się dyskretne pukanie:
–Proszę wejść!– mówi grzecznie Heniek, a u progu drzwi pojawia się służąca i podaje mi coś niezgrabnie. Dopiero teraz dostrzegam, że to list, opatrzony niemiecką pieczęcią.
– Do diabła z nimi! Do diabła z nazistami! – krzyczę. – Cóż oni ode mnie chcą?
Przyglądam się czarnej pieczęci i rozrywam kopertę. Przez chwilę nastaje cisza, a ja zagłębiam się w lekturze listu.
- Panie inżynierze i cóż oni tam piszą?– Heniek próbuje zapuścić żurawia w kartkę. Ja jednak odpycham go i mówię pewnie:
- Chyba znalazłem sposób, żeby wyrwać moją Julię i Kasieńkę z tego piekła – odwracam się do służącej:
- Marta, szykuj mój surdut, wieczorem wyjeżdżam.
- Dokąd? – Heniek i służąca pytają niemal jednocześnie.
– Do Schlosshof, do kwatery gestapo! – odpowiadam pewnie.

**Uczta na Olimpie**

Strumieniami leje się szampan, orkiestra gra Wagnera, stoły uginają się od pieczonych kaczek, duszonych w jabłkach, najznamienitszych ciast, deserów i napojów. Za ogromnym stołem, wykonanym misternie z kryształu siedzą oni – złotowłosi cherubini, odziani w mundury i wysokie, wypolerowane buty. Ich oczy osadzone w twarzach niczym wyciosanych z drewna spoglądają triumfalnie. Niektórzy z nich, upojeni trunkami rozpięli swój mundur do

połowy i rozluźnieni zaczynają śpiewać gardłowo. Tęgi, rosły oficer, chyba najbardziej opity, staje na stół i podnosi rękę w geście faszystowskiego pozdrowienia.
- Ależ Helmucie - gani go dama, odziana w toaletę wyszywaną kosztownymi perłami. – Cóż ty robisz? Zachowujesz się niczym nędzny Polaczek. Ba - wymachuje dłonią z pogardą - takie zachowanie jest godne Żyda, a nie niemieckiego oficera.
– Ja wohl, meine liebe Herta!– Niemiec chwyta kobietę za ramię i zaprasza do tańca. Ja usadawiam się cicho w kącie, spoglądając na tę ucztę. Naraz, podchodzi do mnie niski oficer. Nie pasuje do pozostałych gość. Jest trzeźwy i pomimo swego niskiego wzrostu spogląda na mnie z wyższością:
– Inżynierze Rozwadowski, o pana sukcesach słyszałem już przed wojną. Jest pan ponoć najlepszym konstruktorem mostów w Europie. Bylibyśmy zaszczyceni, gdyby pan zechciał pracować dla nas. Partia NSDAP potrzebuje takich ludzi. Oczywiście pana zadaniem będzie tylko konstruowanie mostów dla Trzeciej Rzeszy – zaczyna ostrożnie.
– Nie, to nie wchodzi w rachubę. Pan przecież wie, że jestem przeciwnikiem polityki Hitlera, a ponadto mam polskie korzenie - dodaję pewnie.
– … Nawet, jeśli dzięki temu, pana żona i córka mogłyby zostać zwolnione z obozu?– błękitne oczy Niemca spoglądają na mnie przenikliwie z wyższością.
– Jak to, jak to … Czy naprawdę jest to możliwe?– jęczę jak zranione zwierzę
–Cóż, panie inżynierze, jest wojna. Losy pana żony i córki zależą od pana decyzji. Dowiadywałem się, że jest możliwość zwolnienia ich z obozu. Ale to będzie pana kosztować. Postawię sprawo jasno, panie inżynierze. Pana zdolności i praca na rzecz Trzeciej Rzeszy, za ich życie – głos Niemca brzmi pewnie.
- A jaką mam gwarancję, że wyjdą z tego żywe?– zaczynam ostrożnie.
– Słowo niemieckiego oficera!– odpowiada mi rozmówca.
– Zrobię wszystko, żeby były bezpieczne. Zgadzam się – słyszę swoje słowa.
– Wiedziałem, że się dogadamy - Niemiec odwraca się i sięga po kieliszek. Nalewa szampana i podaje mi trunek.
- Za sukces! – krzyczy.

**Syzyf**

- Panie inżynierze, jest pan genialny!– Heniek przeciera oczy ze zdumienia.– Toż to prawdziwe cacko. Ten most, pomimo, że przenośny, jest wytrzymały jak skała.
Spoglądam na niego smutnymi oczyma:

– Oj Heniek, Heniek, będę się smażył w piekle. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi dane pracować dla NSDAP. Ten bagaż jest tak ciężki, niczym głaz. Oj, Heniek, Heniek… Noszę na plecach wielki kamień…

– Panie inżynierze, przecież nie było innego wyjścia. Ten oficer dał słowo, że skonstruowanie mostu za życie pani Julii i Kasieńki.

– A jakie tam słowo, Heniek?– kiwam głową ze smutkiem. – Oni czują się bogami Hellady. Są wyłączeni spod prawa, wydaje im się, że są nieśmiertelni, że wszystko mogą. Wiesz Heniek – szepczę z poczuciem beznadziei – ta praca nie ma żadnego celu ani końca. Wypuszczą Julię, o ile oczywiście to zrobią, a potem zaczną mnie szantażować. Zmuszą mnie żebym dla nich wciąż pracował – wznoszę oczy ku górze. – Oj Heniek, Heniek, tylko jaką ja mam gwarancję, że oni je wypuszczą?

**Demeter i Persefona**

- Most modułowy systemu Baileya. Nawet pod przemarszem słoni się nie zawali – podaję szkic konstrukcji mostu niemieckiemu oficerowi, a moje usta wyginają się w nerwowym uśmiechu.

– Dziękuję, panie inżynierze Rozwadowski. Byłem pewien, że się dogadamy. Trzecia Rzesza, ale i cały Ratibor jest panu wdzięczny. Nigdy tego panu nie zapomnimy. I jeszcze raz ponawiam pytanie: może w końcu wstąpi pan do NSDAP? Hitler szanuje takich ludzi jak pan – i nie dokańcza, bo przerywam mu, wykonując ruch ręką:

– Nie, nie! To było jednorazowe zlecenie. A propos, co z moją żoną i córką? Kiedy wypuszczą z obozu Julię i moją Kasieńkę?

- Ależ, panie inżynierze – Niemiec klepie mnie po ramieniu. - Dałem panu słowo niemieckiego oficera. Właśnie moi ludzie załatwiają im zwolnienie z obozu. Lada moment zjawią się u pana w dworku. Mam jednak nadzieję, że to nie będzie koniec naszej współpracy – niemiecki oficer wyciąga do mnie dłoń, a ja przez chwilę waham się. Jednak zaraz moja lodowata dłoń dotyka ręki wroga.

– Co ja dobrego zrobiłem? Jak mogłem ułożyć się z wrogiem?– natrętne myśli oblegają mój umysł. Niemiecki oficer chyba odgaduje je, bo zwraca się do mnie uprzejmie:

- Wie pan, cel uświęca środki. Nigdy nie pożałuje pan, że pracował dla Trzeciej Rzeszy. To nie wstyd służyć zwycięzcom!

Nie odzywam się już więcej i odchodzę w milczeniu. Wychodzę na pustą ulicę Wilhelmstrasse, próbując zaczerpnąć łyk powietrza. Czy wolno mi jeszcze oddychać kurzem zranionego miasta? Skażonego niemiecką ideologią Ratiboru? Naraz orientuję się, że w dłoni

wciąż trzymam projekt konstrukcji mostu. Emocje spowodowały, że zapomniałem go oddać do rąk własnych niemieckiemu oficerowi. Nie namyślając się długo zawracam. Drzwi wciąż są uchylone:

- Jak to nie zostaną zwolnione?– słyszę podniesiony głos niemieckiego oficera.

- Na jakim ty świecie żyjesz, Kurt?– śmieje się gardłowo jego rozmówca. - Zanim wydaliście rozkaz o zwolnieniu tych kobiet, mała została skierowana do gazu. A jej matka, tak się darła, że nie chce dzieciaka zostawić, że postanowiła tam pójść za nią. I tak obie uleciały już z dymem – chichocze głos. Lecz jego rozmówca przerywa mu:

- Z czego się śmiejesz, głupcze? Stracimy doskonałego konstruktora. Berlin nam tego nie wybaczy.

- A tam konstruktora! Cóż to niemieckich naukowców nie mamy, że Polaczków musimy szukać?

Niemiec mówił coś jeszcze, a w końcu obaj parsknęli śmiechem. Ja jednak stoję tam wciąż i czuję, że ziemia wymyka mi się spod nóg. Teraz pragnę wzbić się w powietrze i lecieć ku niebu. Lecieć, lecieć i stopić się razem z błękitem przestworzy. Naraz słyszę huk. To piorun uderza w drzewo. Lecz mnie wydaje się, że to moje serce pękło w pół.

**Prometeusz**

Czy jestem w stanie pogodzić swoje czyny z sumieniem w czerni otaczających mnie czasów? Odpowiada mi pustka. W ogromnym salonie jestem sam. Zupełnie sam. Wsłuchuję się tylko w tykanie zegara. On zawsze dobrze odmierza czas, tylko ja zaszedłem w złe strony. Czy mogę wybaczyć sobie, że skonstruowałem most dla wroga? Spoglądam na zamknięte drzwi. Z zewnątrz nie dochodzi żaden dźwięk. Lecz ta cisza nie tłumi moich wyrzutów sumienia. Umieram codziennie. Cierpię niemiłosiernie, moje rany nigdy nie potrafią się zabliźnić. Kiedy wydaje mi się, że już się leczą, przypominam sobie o tym, że moimi rękoma powstał most, przez który przejeżdżały ciężarówki, wożące ludzi do obozowych bram piekieł. Czy mogę jeszcze zrobić coś dobrego? Naraz podnoszę się z twardego stołka, otwieram drzwi i biegnę przed siebie. Dostrzegam moje kolejne trofeum. Samolot jest taki dumny i piękny! Heniek, gdy go zobaczył rzekł, że to prawdziwy as przestworzy. W pośpiechu ubieram okulary, zakładam pilotkę wskakuję do myśliwca i wzbijam się w powietrze. Jestem wolny, czuje się szczęśliwy i lekki... Spoglądam w dół. Pode mną rozpościera się mój Ratibor…Moje miasto…Ale wydaje mi się, że porzucił czerń i purpurę i przybrał biało-czerwone barwy…Znowu mój świat został zaklęty w tym miejscu…Jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem…Wydaje mi się, że świat znowu skupił się w jednym mieście…

Mój wzrok pada na pasy wyzłoconych mleczem łąk na Eichendorffstrasse. Lecz nie tutaj zamierzam wylądować. Spoglądam na most, moje dzieło, moją konstrukcję, którą własnymi rękoma wyrzeźbiłem dla wroga.

– Zaraz rozwalę ją całą! Rozwalę ten most! Nie będzie już żadnego mostu porozumienia z wrogiem! - zaciskam pięści ze złością, kieruję się ku ziemi, z impetem podkręcam prędkość, a rozpędzona maszyna pędzi prosto w konstrukcję misternego mostu.

– Jestem zwycięzcą!– krzyczę triumfalnie.

Chociaż samolot uderza w hukiem w most, ten łamie się w pół i staje w płomieniach, to moja dusza odrywa się od spalonego ciała i ulatuje i pnie się niewidzialnym mostem ku górze. O siadam na biało - czerwonej tęczy. W moim Ratibor. W moim mieście. Ono staje się moją Helladą.